Narracje wyobcowanej. O prozie Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej – część 1.



Janina Surynowa-Wyczółkowska, fot. Archiwam Emigracji w Toruniu.

Jolanta Pasterska *(Uniwersytet Rzeszowski)*

Lektura prozy Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej nie pozostawia wątpliwości, że głównym problemem nurtującym pisarkę była kwestia wyobcowania i wygnania, zaś obiektem literackiego zainteresowania stała się kobieta[1]. Wniosek ten potwierdza wczesna, przedwojenna twórczość autorki *Gringi*. Zwróćmy uwagę na wiele mówiące i jednoznaczne w swojej wymowie

tytuły powieści: *Ambicje Weroniki* (Warszawa 1935), *Warszawianki* (Warszawa 1935), *Egoizm we dwoje* (Warszawa 1937), *Jego kobiety* (Warszawa 1937), *Kobiety i basta!* (Warszawa 1937), *Płaszcz na dwóch ramionach* (Warszawa 1937), *Panna Florcia* (Warszawa 1939), *Świat zamknięty na klucz* (Warszawa 1939). Wymienione powieści zaliczane przez badaczy do literatury obyczajowej, uzmysławiają, że Surynowa-Wyczółkowska już przed wojną poruszała tematy wówczas przemilczane (tabu): jak seksualność (kobieca), aborcja, prostytucja; umiejętnie wpisując (przemycając?) je w utrwalony w literaturze popularnej schemat kobiety – matki, a więc afirmujący jej tradycyjną rolę społeczną[2]. Po wojnie pisarka wyemigrowała do Argentyny i tam ponownie powróciła do interesujących ją zagadnień. W sadze *Teresa dziecko nieudane* (Londyn 1961), *Gringa* (Londyn 1968) i *Jesień Gringi* (Londyn 1976) los kobiety wpisuje w los wygnańca. Narratorka sagi zanim osiadła w Argentynie doświadczyła traumatycznych przeżyć związanych z utratą bliskich (śmierć matki), przemocy fizycznej i psychicznej (gwałt), poniżenia. Kobiece narracje o wygnaniu i wyobcowaniu (które z tego wygnania po części wynika) różnią się od „mitu" męskiego wygnania. Samo słowo „wygnaniec" nie ma przecież żeńskiego odpowiednika zaświadczając tym samym o męskiej jego realizacji. Inność, obcość wpisana w los wygnańca jest inaczej ujmowana w literaturze tworzonej przez mężczyzn. Bożena Karwowska słusznie zauważa, że męskie narracje zdominował pierwiastek

intelektualny, wygnanie (w twórczości Gombrowicza czy Miłosza) dotyka indywidualistów, geniuszy zafrapowanych własnym rozwojem i twórczością[3]. Kobiece opowieści traktujące o wyobcowaniu wpisują się w schemat matki, na której spoczywa odpowiedzialność za ciągłość rodziny, dbałość o kultywowanie tradycji narodowej, patriotycznej przez kolejne pokolenia dzieci wychowanych z dala od ojczyzny.

Pisarki emigrantki, tak jak Wyczółkowska, które przeżyły wojnę, okupację i powojenną tułaczkę, nadały literacki kształt tym doświadczeniom. Wiele z powojennych utworów nosi w sobie znamiona autobiografizmu i choć pewnie nie zawsze ta kategoria ma istotne znaczenie dla interpretacji, to w przypadku autorki *Gringi* warto na nią zwrócić uwagę, gdyż pod płaszczykiem fikcji przemycone zostają tu problemy, o których ze względów kulturowych czy społecznych nie wypadało otwarcie mówić. Mam tu na myśli kwestie zasadności udziału w powstaniu warszawskim, odczucia zgwałconej dziewczyny, (*Teresa dziecko nieudane*), zachowania Polaków w obozie dla dipisów, postawy rodaków dorabiających się na wojnie (*Gringa)*, samotność w rodzinie (*Jesień Gringi*).

Surynowa-Wyczókowska dając literackie świadectwo wyobcowania sięga do jego źródeł, które tkwią w traumatycznych przeżyciach wojennych bohaterki jej prozy. To one wpłynęły na późniejszą sytuację, sposób bycia i zachowania

bohaterki sagi. Gwałt, który przeżyła odciśnie piętno na jej dorosłym życiu i relacjach z mężem. Kapryśna i zbuntowana nastolatka w jednym momencie dojrzewa, staje się jeszcze bardziej krytyczna w stosunku do świata, do najbliższych i wyznawanych dotąd idei. Podłożem tego buntu jest przecież także przedwojenne romantyczno-patriotyczne wychowanie.

Z takiej właśnie perspektywy ocenia romantyczną spuściznę Teresa – bohaterka powieści *Teresa dziecko nieudane* Janiny Surynowej Wyczółkowskiej[4]. Jest to postać, która łączy w sobie zarówno cechy romantyczne, jak i „antyromantyczne", co pozwala jej z optymizmem stanąć do konfrontacji z rzeczywistością. Zachowaniem bohaterki kieruje młodzieńczy i niedojrzały bunt skierowany przeciw narzuconym przez tradycję wzorcom postępowania. Jej pierwszym adwersarzem jest matka, której zachowanie wzbudza w Teresie irytację. Młoda bohaterka powieści nieustannie zarzuca jej nadmierną ufność w patriotyczne frazesy, a także narażanie siebie i rodziny na niepotrzebne ryzyko. Z przedstawianej historii wyłania się stopniowo autoportret Teresy:

> Teraz dopiero zrozumiałam z jakim rozczarowaniem mama musiała przyglądać się własnej córce, która tylko gotowała kartoflankę, kuła czasowniki angielskie, przygotowywała maturę i ani myślała o patriotycznej robocie! A ja słyszeć nie

> chciałam o tym, aby mnie badano i bito na Gestapo, jak ciotkę Fafę, i nie miałam zamiaru „złożyć życia na ołtarzu ojczyzny” (TDN, s, 18).

Nastoletnia bohaterka deklaruje z przekonaniem, że jest racjonalnym, pozbawionym romantycznych mrzonek człowiekiem, „gwiżdżącym na ideały, pacyfizmy i inne <izmy>” (TDN, s.14). Obserwacje codziennych zmagań Polaków z hitlerowskim okupantem stają się dla niej okazją do prowokacyjnych oskarżeń rodaków o „nierozumny”, „oszalały” polski patriotyzm, polski romantyzm, nakazujący apoteozowanie cierpienia. Takiej postawie przeciwstawia zachowania Francuzów i Czechów, którzy zawarli z Niemcami kompromis i rozsądnie nie narażali swojego życia. Zmianę zachowania i rewizję poglądów bohaterki Wyczółkowskiej przynosi dopiero śmierć matki, a także osobiste doświadczenie okrucieństwa (tj. gwałtu dokonanego przez własowców). Szacunek, jaki okazują zmarłej zupełnie nieznani ludzie, zmusza Teresę do zastanowienia i w konsekwencji do zmiany dotychczasowej oceny działalności konspiracyjnej matki. To przeobrażenie „szczenięcia”, jak metaforycznie mówi o sobie bohaterka, jest tym boleśniejsze, że dokonuje się wraz z demaskowaniem wyidealizowanego obrazu ojca. Jego życie jest niejako odwrotnością życia matki i jednocześnie realizacją postawy, którą początkowo nieświadomie naśladowała młoda Teresa.

„Kochające się w złudzeniach” środowisko matki, jak je określa Teresa, przeciwstawione zostało gromadzie cwaniaków i dorobkiewiczów. Zatem ton kpiny i buntu, w jakim rozpoczęła swój pamiętnik bohaterka Wyczółkowskiej, ustępuje ostatecznie dojrzałości i współtworzy psychologiczne studium dojrzewającej dziewczyny. Postawa narzucana przez matkę nie okazała się ciasnym ograniczeniem, ale dobrze „skrojonym” światopoglądem, w którym dojrzała już bohaterka potrafiła się bez trudu odnaleźć. Już odtąd stale towarzyszyć jej będzie ten niechciany, romantyczny kodeks. A ona sama czy to w obozie dla dipisów, czy w Paryżu, Londynie lub Buenos Aires, wszędzie tam, gdzie przyjdzie jej podejmować ważne decyzje, ze zdumieniem odkryje, że kieruje się właśnie wskazówkami matki i jej wzniosłymi słowami o wolności, romantyzmie i zapale do pracy:

> Zdawało mi się – zauważa Teresa – że ten cały nudny patos od dawna w mojej pamięci zaginął. Jednak teraz stojąc pod oknem odnajdywałam go. […] Miałam wrażenie, że mama zwyciężyła mnie w chwili swej życiowej klęski. I to było dziwne. Paradoksalne. Niezrozumiałe (TDN, s.82).

Ta niejasność sytuacji budzi w bohaterce bunt, ale i dumę. Bowiem antynomiczność odczuć pozostała trwałym składnikiem jej psychiki. Pamięć o matce i wpajanym przez nią patriotycznym wychowaniu towarzyszy jej również w obserwacji emigracyjnego

życia. Teresa przy każdej okazji więc poddaje ocenie przejęte idee. Na przykład, gdy poirytowana obserwuje rodaków w tymczasowym obozie dla dipisów.

> Psiakrew… Na czym to się skończyło to polskie bohaterstwo? – pyta rozgniewana – Na wyjedzeniu konserw z tysięcy puszek! Na zalewaniu patriotycznego robaka bimbrem pędzonym po kryjomu! Na rozproszeniu po świecie! Na miłości do młodych dziewczyn, które trzeba było porzucić. Na tęsknocie za spokojnym życiem i sprawiedliwością (TDN, s.184).

Jednak przy pierwszej nadarzającej się okazji, wbrew zakazowi ojca, bierze udział w patriotycznym spotkaniu z wybitnymi polskimi dowódcami: Władysławem Andersem, Tadeuszem Borem-Komorowskim i Stanisławem Kopańskim. Spotkanie wywołuje takie same uczucia, jak te kierowane do matki: podziw i złość. Bohaterka jest dumna z odwagi dowódców, podziwia ich waleczność, ceni przymioty wodzowskie, ale jednocześnie irytuje ją brak intuicji politycznej generałów oraz przejawiany przez nich prymat entuzjazmu nad rozsądkiem. Poświęcenie i śmierć tysięcy żołnierzy było – według bohaterki Wyczółkowskiej – niepotrzebne, bo Europa szybko zapomniała o bohaterstwie Polaków. Ambiwalencję uczuć młodej dziewczyny podkreśla także scena spotkania z przyjaciółmi, gdy Teresa nie znajduje

zrozumienia dla zachowania niedawnych bohaterów Powstania Warszawskiego, którzy na uchodźstwie zerwali z patriotycznym etosem i przemienili się łatwo w emigrację zarobkową.

Romantyczny paradygmat warunkuje także życie uczuciowe bohaterki. Nawet jej miłość okazuje się niespełniona i tragiczna, gdyż na przeszkodzie staje najpierw rozłąka i niecne kłamstwa ojca, a potem pełen rezygnacji powrót ukochanego do zajętego przez komunistów kraju.

W czasie podróży po świecie Teresa dojrzewa i nabiera dystansu do wielu osobistych spraw. Wybierając pomiędzy pragmatyzmem ojca i romantyzmem matki, stara się znaleźć jakieś trzecie wyjście, które umożliwi jej „bycie człowiekiem a nie zwierzakiem"(TDN,s.302). Mimo prób zerwania z romantycznym dziedzictwem zdaje się być od niego uzależniona. Ono zaciąży nad dalszym jej życiem.

Jesień Gringi Surynowej-Wyczółkowskiej to najbardziej nasycona autobiograficznie część cyklu poświęconego emigracyjnym losom bohaterki, *alter ego* samej autorki. Jak słusznie zauważa Katarzyna Lachowicz:

> Ponieważ losy autorki i tytułowej Gringi są w wielu miejscach zbieżne, można domniemywać, że kryją się w

> powieści przeżycia, sytuacje, typy ludzkie, detale, które poznała Janina Surynowa-Wyczólkowska w bezpośrednim doświadczeniu kobiety, intelektualistki, emigrantki[5].

Nie jest to zatem wspomnienie w tradycyjnym rozumieniu, to raczej, jak pisze Wacław Lewandowski, „gatunek pograniczny", w którym materiał wspomnieniowy miesza się z fikcją literacką[6]. O takim poszukiwaniu nowych sposobów opowiadania przekonuje również Wojciech Ligęza. Badacz zauważa, że:

> Przenikają się tutaj różne perspektywy narracyjne, a podmiot ulega rozszczepieniu, kiedy „ja" autorskie prowadzi dialog z bohaterką, posługuje się dwoma perspektywami po to, by negocjować z postacią powieściową właściwą wersję wydarzeń[7].

Kompozycja ostatniego cyklu sagi przypomina beletryzowany pamiętnik, w którym pojawiają się krótkie sceny połączone osobą narratorki. To Teresa jest przewodniczką nie tyle po nowym kraju osiedlenia, raczej opowiada o historii człowieka wyobcowanego. Odnajdujemy tu zarówno refleksje dotyczące konkretnego, jednostkowego emigracyjnego doświadczenia, ale i doświadczenia emigracji w ogóle [8]. Przyjmując takie założenia

można *Jesień Gringi* rozpatrywać jako zbiór refleksji odnoszących się do miejsc, ludzi i ich wewnętrznych odczuć związanych z życiem poza granicami ojczyzny. Na obraz argentyńskiej emigracji składają się opisy krajobrazu, środowiska emigrantów i społeczeństwa nowego kraju osiedlenia. Przyroda odgrywa tu istotną funkcję. Na jej tle bowiem dochodzi do zderzenia dwóch rodzajów świadomości: Polaka-emigranta i Argentyńczyka-cudzoziemca. Temu rozbiciu tożsamości towarzyszą skrajne uczucia tęsknoty za ojczyzną, za „maleńkim krzaczkiem niezapominajek" i budzącej niepokój fascynacji argentyńskim pejzażem określanym jako „rozkwitłe szaleństwo egzotycznej jacarandy"[9].

Argentyna Surynowej-Wyczólkowskiej to kraj właśnie takiej rozbuchanej, nieokiełznanej przyrody i ukrytych w niej żywiołów, obcych i przerażających przybysza z Europy Środkowej[10]. Jednym z takich żywiołów jest trzęsienie ziemi, którego gwałtowność i skala zniszczeń wprawia w zaskoczenie. Natychmiast jednak krajobraz spustoszenia i ruin, jaki po sobie pozostawiło, implikuje obraz zburzonej Warszawy. Ojczyna i obczyzna nieustannie będą się już przeplatać. W przestrzeń miasteczka (najpewniej chodzi o San Juan), w którym żyje tytułowa Gringa wpisują się Andy, nazywane przez bohaterkę Kordylierami (termin *Kordyliery* obejmuje również południowoamerykańskie Andy). Olbrzymi masyw górski to jedne z pierwszych wrażeń, jakie odnotowuje Gringa po przybyciu do

Argentyny:

> Widziałam góry u wylotu ulicy. Wbite w szafirowe niebo. Codzienne inne. Różowe, porysowane czarnymi cieniami. To znów granatowe. Albo rozpylone we mgłach, ledwo widoczne (JG, s. 47).

Jednak zachwyt argentyńskim pejzażem dochodzi do głosu sporadycznie. Gdy przebywa do Argentyny ktoś z Polski (np. ciotka Fefa), Teresa chce pokazać najpiękniejsze zakątki nowego kraju, pragnie w przybyszu wzbudzić zachwyt Argentyną. Ale nie o rodaka tu chodzi. Jest to raczej rodzaj autoterapii, Gringa, stara przekonać samą siebie, że warto żyć w Argentynie. To poczucie wewnętrznego rozdarcia będzie zawsze towarzyszyło bohaterce Surynowej. Widok Kordylierów, wybujałej roślinności, bezkresnych równin fascynuje, ale i zwielokrotnia poczucie obcości. Dlatego pojawiają się próby zaadaptowania nowej rzeczywistości poprzez przetransponowanie ojczystych wzorców w przestrzeń własnego domostwa i rodziny. Bohaterka Surynowej-Wyczółkowskiej nieustannie poszukuje w obcym pejzażu znanych sobie elementów ojczystej przyrody, w pożółkłej trawie chce widzieć macierzankę lub złoty rozchodnik, w cedrzyńcu odnajduje jałowiec. Odnosi się wrażenie, że mimo egzotyki i wybujałej roślinności nowa ojczyzna jest jedynie namiastką Polski.

Charakterystyczne jest tu porównanie siebie do polskiej wierzby, „która nie chciała się przyjąć i zaklimatyzować w egzotycznej, wulkanicznej ziemi” (JG, s. 7). Antropomorfizacja wierzby-polskiego drzewa – symbolu podkreśla obcość i tęsknotę za krajem.

Surynowa-Wyczólkowska stara się oswoić argentyńską rzeczywistość przez włączanie do obcego świata polskich akcentów. Takie znaczenie ma wybudowany przez bohaterkę jej wspomnień argentyński dom w stylu szlacheckich dworków z „ganeczkiem na słupach, facjatką i okiennicami” (JG, s.224) albo ogród, w którym wbrew klimatowi próbuje pielęgnować polskie kwiaty. Wszystko to jednak okazuje się czymś zamiast, jest imitacją „kraju lat dziecinnych”. Małżeństwo z Argentyńczykiem[11] zamiast pomóc w asymilacji, pogłębia wyobcowanie, bo dom Teresy i Jose Maria to zderzenie dwóch zupełnie różnych kultur, których punktów stycznych nie może odnaleźć Gringa.

W nowej ojczyźnie Teresa nie potrafi się zaaklimatyzować. Mimo wysiłków męża Argentyńczyka, który buduje jej dom do złudzenia przypominający polskie dworki szlacheckie, bohaterka czuje się obco. Ma wrażenie, że ciągle jest Gringą (jak w tytule drugiej powieści Surynowej), a jej życie na emigracji jest zaledwie imitacją prawdziwego.

> José buduje w centrum miasta dom i ma złudzenia, że to jest dom polski. A więc dom ma bardzo spadzisty i czerwony dach. Ganeczek na słupach. Facjatkę […] Przy naszym polskim domu tuje imitują świerki. Patio imituje werandę […](G, s. 224).

Nieprzypadkowo w cytowanym fragmencie pojawia się słowo „imitacja”. Obczyzna jest tu postrzegana bowiem jako falsyfikat. Budowany na uchodźstwie dom jest dla bohaterki rodzajem kłamstwa, gdyż jest przekonana, że nie będzie on w stanie zastąpić tego prawdziwego, który pozostał daleko za „żelazną kurtyną”. Wywołuje więc wyrzuty sumienia i samooskarżenie o zdradę ojczyzny. Takie odczucia rodzą się u narratorki w momentach zachwytu dla bujności argentyńskiej przyrody. W tych spontanicznych relacjach bohaterka sagi zauważa, że w jej język ojczysty wkradają się obcobrzmiące hiszpańskie słowa oddające świeżość i zapach kordylierskiego powietrza. Tłumaczy ten fakt następująco:

> Bo tak właśnie jest mi pomyśleć poręczniej i łatwiej. „Wynaradawiasz się, Tereso – myślę idąc do autokaru”(G, s. 65).

Kwestie języka ojczystego i jego zacierania się (obumierania) zaświadczają o wynarodowieniu. Dlatego wpisując się w schemat matki strażniczki polskości, Teresa stara się kultywować język polski w rodzinie[12]. Ale sama pochodząca z mieszanej (polsko-czeskiej) rodziny wie, że utrzymanie językowej czystości jest po prostu niemożliwe. Zwiedzając Buenos Aires konkluduje, że to przyszła stolica jej argentyńskich dzieci. Ma zatem świadomość nieuchronności procesów asymilacyjnych. Jednak pogodzenie się z tym faktem nie przychodzi jej łatwo. Czuje się Inną, wyobcowaną i rozdartą wewnętrznie[13].

Z pewnością taka postawa nie sprzyja adaptacji w nowym miejscu. Nie ułatwia jej także córka, z którą Teresa nie może nawiązać kontaktu. Barabrita odczuwa wyraźnie obcość matki, spowodowaną nie tyle tęsknotą za ojczyzną, ile jej zupełną odmiennością kulturową. W reakcji na określenie „wstrętna Gringa", wypowiedziane w złości przez córkę, Teresa odpowiada:

> I ty jesteś Gringa – mówię twardo – bo jesteś moją córką. Złe spojrzenie spod rozgrzanej grzywki i krzyk: – Wstydzę się, że jestem córką Gringi. Córką de una Polaca (córką Polki) (G., s.215).

Scena ta przypomina Teresie kłótnie ze swoją matką w Polsce, którą – podobnie jak teraz jej córka – oskarżała o zbyteczny,

anachroniczny patriotyzm. Trzeba jednak zauważyć, że bohaterka *Gringi* nie rozpatruje konfliktu z córką w kategoriach buntu pokoleniowego. Nadaje mu – jak i całej swej egzystencji – wymiar narodowościowy. Oskarża się bowiem, że niedostatecznie zabiegała o polskość córki i gdy ta dorosła, nie jest w stanie jej zrozumieć. Niemniej jednak to właśnie Barabrita wytknie matce zamknięcie w „skorupie polskości" i brak rozeznania w bieżących sprawach ojczyzny. Przedstawiając Teresie narzeczonego Polaka – emigranta 1968 roku – zapyta wprost:

> A więc? Jeżeli w Polsce nie ma antysemityzmu, to dlaczego ty, Ricardo, obawiasz się, że mamita, pomimo wszelkiej *amistad* (przyjaźni) jaką ma dla ciebie, może być niezadowolona z naszego matrymonio (małżeństwa)? (JG, s.65).

Wprowadzenie do powieści przedstawiciela nowej fali uchodźców uzmysławia bohaterce konsekwencje jej długotrwałej samoizolacji, gdyż zrozumienia nie znajduje już nie tylko u swojego dziecka, ale także u przybysza z Polski. Prowadzi to do przekonania, że powrót do kraju jest już niemożliwy. Tej ojczyzny, którą pozostawiła kiedyś jako nastolatka, już po prostu nie ma.

Część 2 ukaże się w poniedziałek, 15 lipca 2019 r.

---

[1] Artykuł jest fragmentem zamieszczonym w monografii *Emigrantki, nomadki, wagabundki. Kobiece narracje (e)migracyjne*, Rzeszów 2015.

[2] Zob. *Dwudziestolecie mniej znane. O kobietach piszących w latach 1918–1939. Z antologią*, red.

2011. Graczyk, M. Graban-Pomirska, K. Cierzan, P. Biczkowska, Kraków 2011.

[3] B. Karwowska, *Druga płeć na wygnaniu. Doświadczenie migracyjne w opowieści powojennych pisarek polskich,* Kraków 2013, s.6.

[4] J. Surynowa-Wyczółkowska, *Teresa dziecko nieudane*, Londyn 1961. Cytaty pochodzące z tego wydania oznaczam skrótem TDN. Z zawartych w *Ferdydurke* (oraz w późniejszych dziełach Gombrowicza) uniwersalnych idei czerpią również pisarze emigracyjni. Dotyczy to między innymi zagadnienia konstrukcji postaci, których podobieństwo do Gombrowiczowskiego wzorca dostrzec można choćby w powieściach Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej, Olgi Scherer, Jerzego Pietrkiewicza, Mariana

Pankowskiego i Mariana Czuchnowskiego.

[5] K. Lachowicz, *„Jesteś na obcej ziemi, i sama". Doświadczenie emigracji w powieściowym płaszczu. „Jesień Gringi „ Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej,* „Archiwum Emigracji, . Studia– Szkice –Dokumenty" , 2009, z. (2) 11, s. 144.

[6] W. Lewandowski, *Czy to wstyd wspominać? Kilka wstępnych poruszeń tematu*, „Archiwum Emigracji. Studia –Szkice – Dokumenty", Toruń 2009, z.2, s. 6.

[7] W. Ligęza,, *Wizje Ameryki Łacińskiej w prozie Bobkowskiego, Gombrowicza i Straszewicza*, (w:) *Proza polska na obczyźnie. Problemy – Dyskursy – Uzupełnienia,* red. Z. Andres, J. Pasterski, A. Wal. , t. 1, Rzeszów 2007, s. 53.

[8] K. Lachowicz, *„Jesteś na obcej ziemi sama".,* s. 145.

[9] J. Surynowa-Wyczólkowska, *Jesień Gringi*, Londyn 1976, s. 7. Wszystkie cytaty pochodzą z tego wydania powieści . Oznaczam je skrótem JG.

[10] O Argentynie Surynowej-Wyczółkowskiej pisałam w szkicu *Obca cudzoziemska ojczyzna". Obrazy Argentyny w prozie wspomnieniowej Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej, Józefy Radzymińskiej i Zofii Chądzyńskie,j* . Zob. *Literatura Polska obu*

Ameryk. Studia i szkice. Seria pierwsza, red. B. Nowacka, B. Rogowska- Szałasta, Katowice –Toronto 2014., s.571-580.

[11] W rzeczywistości pisarka była zamężna dwukrotnie: z Józefem Cybulskim, (zginął w wojnie polsko-bolszewickiej) i Józefem Cybulskim, pilotem. W Argentynie pracował jako przedstawiciel towarzystwa The Anglo-Argentine Society, wykładał też w Instytucie Kultury Angielskiej w San Juan. Zob. E. Żółtowska, *Powrót do pióra,* „Merkuriusz Polski" 1957 nr 7/8.

[12] Problem zachowania języka ojczystego w rodzinie emigranckiej nie jest nowy. Ciekawie opisuje go choćby Zofia Romanowiczowa w *Baśce i Barbarze* (Paryż 1956) czy Ewa Hofman w *Zagubione w przekładzie przekł.* M. Ronikier (Londyn 1989) i Danuta Mostwin w *Ameryko! Ameryko!* Warszawa 1981.

[13] Poprzez wewnętrzne rozdarcie i niezgodę na istniejący kształt rzeczywistości ona sama bliska jest także postaci Victora Zagona z powieści Jerzego Peterkiwicza, *That Angel Burning at My Left Side*, Londyn 1963 wyd polskie: J. Pietrkiewicz, *Anioł ognisty, mój anioł lewy*, tłum. M.Glińska, Warszawa-Lublin 1993 .

Portugalia w Indiach (Goa), 2007-2008.



Dwór indo-portugalski w Goa.

Zygmunt Wojski *(Wrocław)*

W różowym świetle wczesnego poranka, we mgle, rysują się kontury ogromnych, rozłożystych drzew, a potem, po drodze do **Margão** (około 25 km na południe) coraz więcej palm kokosowych, pastwiska, gdzie wielkie garbate szare krowy rasy zebu, bawoły i pełno małych, białych czapli, zatopione w wodzie pola ryżowe, bujna, tropikalna roślinność, którą kocham całym sercem, zwłaszcza te wspaniałe pióropusze palm kokosowych!!! Pożerałem to wszystko chciwym wzrokiem, aż dojechaliśmy do hotelu „Nanutel" przy Padre Miranda Road w **Margão**. Nazw portugalskich wszędzie mnóstwo: Bar Afonso, Avenida da Conceição, Largo da República… Zanim dojechaliśmy do hotelu, po drodze ogromny, biały kościół Św. Ducha (XVII-XVIII w.) ze stojącym przed nim na wielkim placu typowym portugalskim krzyżem o szerokim poprzecznym ramieniu i skróconym tuż nad nim pionowym. Krzyże te wykonane tu z różowego kamienia stoją na ozdobnych wysokich postumentach. Cały stan **Goa** wypełniony jest nie tylko barokowymi kościołami, ale i pałacami, dworami, pięknymi willami w tzw. stylu indo-portugalskim. Te wspaniałe niegdyś budowle teraz są nieco zaniedbane, niestety! Upłynęło już 47 lat od kiedy Nehru zajął tę dawną kolonię portugalską, a ich właściciele wynieśli się z rodzinami do Portugalii.



Dom indo-portugalski w Margão. Goa.



Domy w Margão.

Zaraz na początku spacer do kościoła Św. Ducha. Kościół od frontu zamknięty, ale przypadkowo spotkany starszy Hindus o wyglądzie katolickiego księdza (zdaje się, miał koloratkę) znakomitą portugalszczyzną informuje mnie, że wejście jest w głębi na lewo. Wnętrze kościoła niezwykle ciekawe: piękne barokowe ołtarze z najciekawszym przedstawiającym Św. Floriana. W postaciach aniołów jakaś lokalna naiwność, tak samo malownicza, jak w kościołach latynoamerykańskich. No i wszechobecna naokoło tropikalna przyroda: ogniście kwitnące tropikalne akacje, gigantyczne fikusy o szerokich pniach i warkoczach cienkich pędów spływających z gałęzi... Krótko mówiąc to, co lwy lubią najbardziej! Wracam już inną drogą,

wąskimi uliczkami pnącymi się w górę, wśród wyżej wspomnianych, nieco opuszczonych rezydencji indo-portugalskich, arcyciekawych!!! Drzewa, krzewy obsypane kwiatami, absolutny raj.

Znakomitym zbiegiem okoliczności po powrocie do **Goa** z muzułmańskiej części Indii na północy kraju zmieniono nam hotel, bo w tym, gdzie mieliśmy zamieszkać, nie ma już miejsc. Trafiamy więc do małego, przytulnego hoteliku „Coconut Grove" (Kokosowy Zagajnik), położonego w najcudowniejszym miejscu, jakie tylko można sobie wymarzyć. Otoczony jest, zgodnie z nazwą, lasem palm kokosowych, kwitnącymi hibiskusami i oleandrami, w sąsiedztwie pól ryżowych i łąk, na których pasą się czarne bawoły wodne, mniejsze od krów, z rogami wygiętymi mocno do tyłu. Do plaży około 150 metrów przez wydmy porośnięte piniami. Ale sama plaża taka sobie: prosta jak strzelił linia brzegowa, woda w Morzu Arabskim szmaragdowa, ale mętna i niepokojąco duże fale. Na szczęście, nie są one groźne. Łatwo je pokonać, a za nimi pływa się już znakomicie w ciepłej, wspaniałej wodzie. Po prawej stronie, na wysokiej skarpie dość duże miasto **Vasco da Gama**, leżące tuż za lotniskiem w **Dabolim**. Po lewej, jakieś 6 km od naszej plaży, kąpielisko Colva. Widok z balkonu na pierwszym piętrze hotelu, czarujący! Trawniki i szpalery kwitnących krzewów, dwa hamaki rozwieszone wśród palm, a dalej, urzekająco piękne palmy kokosowe o pniach fantazyjnie powyginanych, ten

najwspanialszy symbol tropiku!



Kościół św. Ducha w Margão.

4 stycznia. Rano robię rekonesans okolicy zmierzając ku miasteczku **Betalbatim** (około 2 km od hotelu). Tym razem nie dochodzę tam jednak, lecz próbuję obejść znajdujące się przy drodze malownicze rozlewisko Alagoa (po portugalsku właśnie „rozlewisko”) z hotelem o tej samej nazwie przy jego skraju. W wodzie rosną łany białych i liliowych lilii wodnych o szerokich pływających liściach. Na środku wysepka z gromadą ukrytego

tam ptactwa: błękitne duże ptaki (kurki wodne?), białe czaple i małe biało-szare *Black-winget Stilt*, czyli „czarnoskrzydłe szczudła” (*Himantopus himantopus*), stojące w wodzie na jednej nodze. Obejście rozlewiska okazuje się niemożliwe: moczary i brak ścieżek, kolczaste krzewy, ukryte wśród drzew domostwa… Jakaś kobieta w ostatniej chwili chwyta psa rzucającego się do ataku na mnie. Trzyma go, wołając do mnie: „Go, go!” Z innej chaty wybiega w moim kierunku młody, półnagi mężczyzna i pokazuje mi ścieżkę, którą najlepiej dojść do szosy. Gdy później pokazałem ją naszemu przewodnikowi, ten nie mógł się nadziwić, jak ja mogłem w sandałach ryzykować przejście tak zarośniętą ścieżyną, przecież mogłem nadepnąć na jadowitego węża, których podobno mnóstwo w tej okolicy. Przyznam się, że nie widziałem. Podziwiałem natomiast tę gęstwę wspaniałych drzew dookoła rozlewiska, chmary ptactwa i morze kwiatów pokrywających szczelnie powierzchnię jeziorka. Po raz kolejny czułem, że jestem po prostu w raju!!!

W drodze powrotnej jeszcze jeden miły akcent. Oto przy hotelu „Alagoa” spotykam młodego mężczyznę (około 40 lat), który znakomicie mówi po portugalsku. Zapraszałem go do naszego hotelu, ale, niestety, nie pojawił się. Sprzed hotelu fotografuję kobiety pracujące na polu ryżowym i ogromne liście „inhame” (*Colocasia esculenta*), rośliny tropikalnej o wielkiej jadalnej bulwie.



Goa. Betalbatim. Autor przed hotelem.



Goa. Portugalski kościół w Betalbatim.

8 stycznia, jedziemy do **Starego Goa** (Velha Goa), by zwiedzić tamtejsze wspaniałe świątynie. Jak się wyraził nasz przewodnik, przestępowałem z nogi na nogę nie mogąc doczekać się tej chwili. To fakt i wreszcie nadszedł ten słoneczny poranek, kiedy wyjechaliśmy we czwórkę: pewna pani i jej córka z podwarszawskich Babic, przewodnik Karol Matkowski i ja. Ruszamy w kierunku północnym, mijając liczne małe miasteczka po drodze i po pokonaniu około 35 km wjeżdżamy na ogromny, zadrzewiony plac, na którym po lewej imponujący, ciemno-czerwony jezuicki kościół i klasztor Bom Jesus, czyli Dobrego

Jezusa, a po przeciwnej stronie dwa wielkie białe kościoły. Jeden z nich pod wezwaniem Św. Franciszka, a drugi to Katedra. Tylko te trzy gigantycznych rozmiarów świątynie zachowały się z całego centrum **Starego Goa**. O ile na zewnątrz wszystkie trzy są stosunkowo skromne, surowe (z wyjątkiem kilku interesujących, ozdobnych portali, w tym manueliński z 1602 roku w kościele Św. Franciszka), o tyle wnętrza są bogate, zwłaszcza w kościele Dobrego Jezusa, gdzie szczególnego splendoru przydaje całemu wnętrzu wspaniale zdobiony marmurowy nagrobek Św. Franciszka Ksawerego, który zmarł w 1552 roku. Autorem jest rzeźbiarz z Florencji Giovanni Battista Foggini. Szczątki świętego spoczywają w dużej srebrnej arce, którą zaprojektował włoski jezuita Marcello Mastrilli, a wykonali miejscowi złotnicy z **Goa**. Przed kościołem charakterystyczny portugalski krzyż i dwa olbrzymie, rozłożyste „samany” (*Enterolabium saman*).

Po drugiej stronie placu oglądamy najpierw kościół Św. Franciszka (1661 r.), przed którym kilka cudownych tulipanowców afrykańskich (*Spathodea campanulata*), zwanych w Wenezueli *bucare*, z wielkimi czerwonymi kwiatami. Wnętrze kościoła wypełniają dość naiwne polichromowane rzeźby w bocznych ołtarzach, ale ołtarz główny jest cały ze złota, ze złotymi posągami świętych harmonijnie wkomponowanych w wielki prostokąt ograniczony potężnymi kolumnami doryckimi. Nad ołtarzem głównym wspaniały sufit kasetonowy. W kaplicach

bocznych i wszędzie doskonale zachowane portugalskie nazwy. W klasztorze jest muzeum, gdzie pan Karol, pamiętając o mojej gorącej prośbie zrobienia mi zdjęcia przy pomniku Camõesa, dowiaduje się, że pomnik poety został przeniesiony sprzed Katedry właśnie do muzeum (sic!). Pyta o kogoś znającego portugalski i okazuje się, że jeden z pracowników muzeum zna ten język, pojawia się i na moją wielką prośbę pozwala nam wejść do środka, ale mamy zrobić zdjęcie szybko, aby nikt się nie spostrzegł. Aliści do pana Karola jakoś to nie dotarło, bardzo długo przymierzał się z aparatem i w efekcie na zdjęciu wyszedłem z miną zniecierpliwioną tą ceremonią i z otwartymi ustami, z których właśnie padały słowa: „Dlaczego tak długo? Proszę szybciej!”

Korzystając z tego, że już jesteśmy w muzeum, postanawiamy je zwiedzić. Na dole stoi ten nieszczęsny Camões pośród płaskorzeźb i fragmentów rzeźb hinduskich, a na górze wielka galeria portretów portugalskich gubernatorów **Goa**. Dziesiątki pokaźnych rozmiarów tych portretów, niestety, artystycznie niezbyt udanych.



Stare Goa. Portugalski kościół.



Stare Goa. Dwa portugalskie kościoły tuż obok siebie.

Katedra (1619 r.) w **Starym Goa** jest największą świątynią katolicką w Azji. W jej wnętrzu bogato złocony ołtarz główny. Robię wspaniałe zdjęcie bocznego ołtarza Św. Sebastiana. Sądząc po dużych owocach złożonych z łusek, egzotyczne miejscowe drzewo, do którego przywiązany jest święty, a dwóch klęczących z boku łuczników właśnie napina swe łuki wymierzone w Św. Sebastiana: wzruszająca naiwność artysty! W **Starym Go**a, na Świętym Wzgórzu (Monte Santo), oglądamy jeszcze ruiny bardzo wysokiej dzwonnicy kościoła Św. Augustyna i klasztor Św. Moniki, z gigantycznymi przyporami po bokach.

Około 10 km na zachód leży stolica stanu **Goa**, miasto **Panaji** (po portugalsku Pangim). Droga prowadzi wzdłuż szerokiej rzeki

Mandovi. Zatrzymujemy się w samym centrum, przed stojącym na wzgórzu uroczym kościołem Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia (*Nossa Senhora da Imaculada Conceição*) z 1619 roku. Wiodą doń zakosami monumentalne schody (1870 r.) złożone z dwóch symetrycznych skrzydeł, z ażurowymi balustradami, jak do kościoła Dobrego Jezusa w Bradze, czy świątyni Matki Boskiej Uzdrowicielki w Lamego. Całość jest utrzymana w kolorze białym z niebieskimi elementami i stanowi autentyczny klejnot barokowej architektury portugalskiej w **Indiach**. Na sąsiednich ulicach stare kamienice pomalowane na niebiesko i różowo, z białymi obwódkami wokół okien, do złudzenia przypominają zabudowę **Lizbony**. Jest nawet takie historyczne powiedzonko: „Quem viu Goa, escusa de ver Lisboa!" (Kto widział Goa, nie musi oglądać Lizbony). W jednej z takich niebieskich kamienic, u stóp opisanego wyżej koscioła, jest księgarnia, w której kupuję przewodnik po stanie **Goa** *100 Goan experiences* (autor, jak wielu goańskich Hindusów, nosi imię i nazwisko portugalskie: Pantaleão Fernandes) i przewodnik po świecie roślin i zwierząt Indii *Wildlife of India*. Z tego pierwszego wynika, że stan **Goa** jest ogromnie ciekawy, gdy chodzi o zabytki sakralne nie tylko portugalskie, ale i hinduistyczne. Masa wspaniałych świątyń, a także pałace w stylu indo-portugalskim, monumentalne fontanny *chafarizes,* cudowne rezerwaty przyrody, mnóstwo wodospadów!!!

Gdy w drodze powrotnej przejeżdżamy przez miasteczko

Betalbatim, mignęła mi po lewej stronie biała sylwetka sporego kościoła. Nazajutrz postanowiłem tam dojść.



Wybrzeże Goa.

9 stycznia. Dość późnym popołudniem ruszam w stronę owego kościoła, ale po drodze fotografuję pasące się na bujnej łące czarne bawoły i brodzące za nimi białe czaple. W tle rząd cudownych palm kokosowych, dalej, cały ich gęsty las. Przechodnie, zwłaszcza kobiety, kłaniają mi się z uśmiechem. Po przejściu około 2 km jestem przed stojącym na małym wzniesieniu kościołem Matki Boskiej Uzdrowicielki (*Nossa Senhora dos Remédios*). Wdzięczna, jasno-kremowa fasada z dwiema kwadratowymi wieżami i wyższym od nich trójkątnym

zwieńczeniem frontonu po środku. Nad środkowym oknem dwa różowe anioły, a nad bocznymi, postaci dwóch świętych. Fotografuję też ozdobny krzyż na postumencie z niszami, na tle ciemno-zielonego pióropusza palmy. Jakże charakterystyczne i symboliczne to zdjęcie! Wewnątrz kościoła, przed ołtarzem głównym grupka dzieci pod okiem opiekunki w różowym sari ćwiczy w języku **konkani** jakąś pieśń religijną. Powtarzają kilkakrotnie ten sam fragment i za każdym razem jeden z chłopców wykrzykuje donośnie jedną frazę. Gdy ich fotografuję, rozlegają się śmiechy, wybucha wielka radość…



Betalbatim. Kafelki portugalskie z nazwą ulicy.

W drodze powrotnej fotografuję portugalskie nazwy ulic wymalowane na kafelkach przy skrzyżowaniach: *Msgr. Inácio Rebelo Road* (Ulica Jego Eminencji Ignacego Rebelo). Napis obramowany wdzięcznymi esami-floresami. Dalej, długa aleja wiodąca do wspaniałej, starej rezydencji. Tu cudowny różowo-żółty kwiat frangipani *(Plumeria rubra).* Nie mogę sobie odmówić sfotografowania. Przy głównej ulicy po lewej kolejne kafelki w tonacji niebieskiej, z napisem: *Solar dos Rebelos de Betalbatim* (Rezydencja Rodziny Rebelo z Betalbatim). Podchodzę bliżej. Wielka parterowa willa w ogrodzie, kryta ciemnoczerwoną dachówką, z gankiem i obszerną galerią obiegającą cały budynek. Po lewej, dobudowana kaplica z białym, ozdobnym frontonem z krzyżem, a po bokach frontonu dwie eleganckie kolumny zwieńczone stożkowatymi wazami. Nad oddzielnym wejściem półokrągły łuk osłonięty gankiem. Przed głównym wejściem do rezydencji biała ozdobna brama z figurką salutującego żołnierza w tropikalnym kasku i szortach. Gdy tak obchodzę rezydencję, słyszę na ganku swojskie dźwięki portugalskiej mowy. Nasłuchuję. Tymczasem wybiegają dwa szczekające psy, a za nimi służący. Pytam, czy mówią po portugalsku, a on z uśmiechem odpowiada twierdząco i zaprasza na ganek, gdzie siedzi dwóch starszych panów i dwie nieco młodsze panie, cała czwórka o bardzo śniadych, typowo hinduskich twarzach. Przynoszą dla mnie krzesło i ucinam sobie z nimi krótką pogawędkę wyrażając mój podziw dla posługiwania się przez nich wciąż tak poprawną portugalszczyzną, mimo że

upłynęło już 47 lat odkąd **Goa** nie jest portugalskie. Oni patrzą na mnie zdziwieni i odpowiadają, że całe życie mówią tym językiem i jest to dla nich najzupełniej naturalne! Potem pytają, gdzie mieszkam, co robię, czy przyjechałem do **Goa** z rodziną i tak dalej. Podejrzewam, że słowo „Polónia” nic im nie mówiło i że raczej wzięli je za nazwę jakiegoś miasteczka w Portugalii!



Dwór Rodziny Souza.

Po przeciwnej stronie ulicy jeszcze jedne, tym razem niebiesko-żółto-różowe kafelki z napisem: *Casa de Souza* (Dom Rodziny

Souza). Naprzeciwko rozlewiska Alagoa, po drugiej stronie ulicy, w wydzielonej części starej rezydencji indo-portugalskiej, msza w miejscowym języku **konkani**. Niewielkie wnętrze wypełnione głównie śpiewającą młodzieżą. Mimo że podchodzę cicho i bardzo dyskretnie, natychmiast przynoszą mi krzesło i zapraszają do uczestnictwa w mszy. Z uwagi na bliskie sąsiedztwo jeziorka krąży nade mną sporo komarów, które wkrótce zabierają się do dzieła, co zmusza mnie do odwrotu.

To był niezapomniany wieczór i tylko żałuję, że zmarnowałem kilka dni na plaży i w hotelu, miast wędrować po miasteczku i okolicach, gdzie, jak wynika z przysłanego mi przez moją przyjaciółkę Elsę z Lizbony pięknego albumu pod tytułem: *Palácios de Goa. Modelos e Tipologias de Arquitectura Civil Indo-Portuguesa* (Pałace w Goa. Modele i typologie cywilnej architektury indo-portugalskiej) autorstwa Heldera Carity ze zdjęciami Nicolasa Sapiehy!!!! (Lizbona 1996), kilka wspaniałych dworów i rezydencji: *Casa dos Teotónio Alemão* (Dom Rodziny Teotónio Alemão z XVI i XVII wieku, z piękną prywatną kaplicą), *Casa Walfrido Antão* (Dom Walfrida Antão) z późnobarokowymi obramowaniami smukłych okien i kutymi w żelazie balkonami, arcyciekawa rezydencja!!!

Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że wielu rzeczy nie udało mi się zobaczyć, nawet w tych miejscach, gdzie przebywałem (za kościołem Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia w **Pangim** jest

stara, portugalska dzielnica o nazwie Fontainhas, co znaczy „Źródełka”, z brukowanymi uliczkami, uroczymi kafejkami, ale o tym dowiedziałem się dopiero teraz, z przewodnika, bo nasz pan Karol znowu nie miał o tym bladego nawet pojęcia!!!). Tym niemniej wycieczka do Indii wybiła się teraz na pierwsze miejsce spośród wszystkich moich ostatnich wypraw, gdy chodzi o intensywność doznań estetycznych i poznawczych. Nawet Petra w Jordanii jest już teraz za nią, dopiero na drugim miejscu. Czy wrócę tam jeszcze? Bardzo, ale to bardzo bym chciał!

Fotografie autora oraz z serwisów Flickr i Pinterest

Zygmunt Wojski, „Od Łupi do Parany i Amazonki”, s. 165. Impresje polskiego iberysty z podróży naukowych do Ameryki Łacińskiej, Hiszpanii i Portugalii, dotyczące historii i kultury odwiedzanych krajów. Ukazują się w drugi czwartek miesiąca.

Wydawców zainteresowanych publikacją książki prosimy o kontakt z redakcją magazynu „Culture Avenue”.

Galeria



Dwór indo-portugalski z kaplicą.



Dwór indo-portugalski w Betalbatím.



Dom indo-portugalski w Goa.



Typowa willa w Goa w stylu indo-portugalskim.



Goa. Bazylika Dobrego Jezusa.



Katedra w Goa.



Katedra z Muzeum Sztuki Sakralnej. Goa.



Kościół św. Kajetana, zwany też kościołem Opatrzności Bożej.



Portugalski kościół Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia w Pangim.



Nawa Bazyliki Dobrego Jezusa. Goa.



Portugalski krzyż przed Bazyliką Dobrego Jezusa w Goa.



Kościół św. Franciszka w Starym Goa.



Nawa kościoła św. Franciszka. Goa.



Rzeźby w kaplicy Cudownej Matki Boskiej. Kościół św. Franciszka. Goa.



Srebrny grobowiec św. Franciszka Ksawerego w Bazylice Dobrego Jezusa w Starym Goa.



Sufit nad Mauzoleum św. Franciszka Ksawerego. Bazylika Dobrego Jezusa. Stare Goa.



Nagrobek św. Franciszka Ksawerego. Goa.



Fort portugalski w Goa.



Goa. Pole ryżowe.



Goa. Krajobraz.



Południowa część Goa.

Poprzednia część „Dziennika z podróży”:

https://www.cultureave.com/wyspy-zielonego-przyladka-2006-czesc-ii/

Kolejna część Wspomnień z podróży Zygmunta Wojskiego ukaże się w czwartek, 8 sierpnia 2019 roku.

Plastyczny Gdańsk



Katarzyna Szrodt przy pracach Janusza Migacza podczas wystawy „W drodze. Kontynenty” w Wejherowie.

Katarzyna Szrodt *(Montreal)*

> Spotkania z płomieniem sztuki zostawiają coś po sobie…
>
> (Adam Zagajewski)

Dwa tygodnie czerwca spędzone przeze mnie w Gdańsku, zawdzięczam wieloletnim badaniom nad dorobkiem polskich artystów plastyków tworzących w Kanadzie i staraniom, by ten powojenny rozdział polskiej sztuki emigracyjnej włączony został do polskiej historii sztuki. Artyści, którzy do tej pory nie byli obecni w kraju, powoli i różnymi drogami do niego powracają. Dzieje się to często w wyniku ofiarowywania prac i archiwaliów placówkom kultury lub dzięki wystawom, na których artyści-imigranci prezentują swoje prace, przypominając polskim środowiskom artystycznym o swoim istnieniu.

Tamara Jaworska, wybitna gobelinistka, która od 1969 roku mieszkała i tworzyła w Toronto, przekazała w zapisie testamentowym 17 gobelinów Muzeum Narodowemu w Gdańsku. Muzeum, czując się wyróżnionym tym darem, planuje w 2021 roku prezentację dorobku Tamary Jaworskiej oraz wydanie monografii artystki. W ramach tego projektu gościłam w Muzeum Narodowym badając prywatne archiwum Tamary Jaworskiej oraz przygotowując plan działań zmierzających do powstania wystawy. W ten to sposób artystka, której kariera znakomicie rozwijała się w Polsce lat 50. i 60., nagle zmuszona do opuszczenia kraju po 1968 roku, teraz powróci do świadomości miłośników sztuki, a ci wszyscy, którzy zechcą obejrzeć wystawę, wreszcie ujrzą słynne „tkane obrazy” – jak określane były przez ekspertów monumentalne gobeliny Tamary.

Szczęśliwą formą emigracji, która zawsze w przypadku ludzi wrażliwych i twórczych, niesie ze sobą bolesne doświadczenie utraty środowiska artystycznego, jest połączenie dwóch światów: tego, z którego pochodzimy – ojczyzny i tego, który stał się nowym miejscem życia. Coraz więcej artystów plastyków, którzy wyjechali z kraju na początku lat 80. zabiega o wystawy w Polsce. Daje im to prawdziwą satysfakcję, że mogą pokazać swoje prace, tym bardziej, że organizacja wystaw, przestrzeń wystawiennicza, katalog, obecność na wernisażu mediów – czyli całość związana z właściwą prezentacją sztuki – wszystko jest na dużo wyższym poziomie niż w Kanadzie. Artyści znający realia kanadyjskie wiedzą, że profesjonalna przestrzeń jest dużym wydatkiem dla artysty, do tego należy dodać koszt katalogu, wernisażu, jeśli przewidziany jest symboliczny poczęstunek – to wszystko skutecznie hamuje chęci i możliwości przygotowania wystaw. Stąd też coraz rzadziej artyści polscy organizują pokazy swoich prac w Kanadzie, czekając na propozycje galerii, z którymi są związani, bądź – uczestnicząc w wystawach w Polsce i Europie.



Kuba Bryzgalski, Portret profesora Andrzeja Dyakowskiego na wystawie „W drodze. Kontynenty" w Wejherowie.

Gdy dowiedziałam się, że 6 czerwca w Wejherowskim Centrum Kultury – Filharmonii Kaszubskiej, odbywa się wernisaż „W drodze. Kontynenty", uznałam za swój obowiązek wyprawę do Wejherowa, gdyż do udziału zaproszeni zostali dwaj polscy malarze mieszkający w Kanadzie: **Janusz Migacz** z Montrealu i **Kuba Bryzgalski** z Toronto. Temat „W drodze" potraktowany został bardzo szeroko i pojemnie, co pozwoliło na różnorodność prac – od zdjęć, poprzez grafikę, malarstwo i rzeźbę oraz wielość technik, stylów i tematów. Zgromadzone prace pokazały

odmienne światy twórcze, zbyt może rozproszoną różnorodność, ale wystawa potwierdziła fakt, że sztuka w Polsce ciągle jest ważna i wspierana przez instytucje kultury. Jasny i przestronny gmach Filharmonii Kaszubskiej dysponuje nowoczesnymi wnętrzami znakomicie wydobywającymi walory sztuki. Wydany katalog z esejem „W drodze" Andrzeja C. Leszczyńskiego otwiera szeroką perspektywę na tytułowy motyw drogi w aspekcie literackim i filozoficznym. (dwa obrazy – Janusz Migacz: Studium modela; Kuba Bryzgalski: Portret profesora Andrzeja Dyakowskiego).

Drugi wernisaż, na którym w „Mlecznym Piotrze" ceramicy prezentowali wystawę poetycko nazwaną „Nie/Wypaleni", porwał mnie i zachwycił – poziomem prac, bogactwem form ceramicznych, rozmachem wernisażu, atmosferą przestrzeni i energią artystów obecnych na pokazie. „Mleczny Piotr" to budynek położony na terenie dawnej Stoczni Cesarskiej, należącej do belgijskiej spółki. Artyści doszli do porozumienia z właścicielem i mają tu swoje pracownie w zamian za prowadzenie działalności kulturalnej, gdyż obie strony uznały, że w dzisiejszym świecie nadrzędną wartością jest sztuka. Ceglany budynek o powierzchni 2 tys.m2 wpisany jest do rejestru zabytków. Na dwóch kondygnacjach powstały pracownie: ceramiczne, malarskie, rzeźbiarskie, fotograficzne. Ostatnia kondygnacja jest olbrzymią przestrzenią wystawienniczą. Na wystawie „Nie/Wypaleni" Gdańska Grupa Ceramiczna pokazała

swoje prace i przyznane zostały nagrody dla prac najlepszych, co stanowi znakomitą zachętę do dalszej pracy. Przechadzając się wśród rzeźb prezentowanych na trzech kondygnacjach, rozmawiając z artystami, słuchając muzyków dających koncert, pomyślałam o „moich artystach" w Kanadzie. Życzę im takiego hucznego wernisażu, spełnienia marzeń wielu, by znów zorganizowano im w kraju dużą, grupową wystawę, na wzór wystawy „Jesteśmy", z 1991 roku, z Galerii Zachęta w Warszawie.



„Dwoje” Marianny Dudek. Od lewej: artystka-ceramik Marianna Dudek, Ewelina Puczyńska, Kika Misztela, Katarzyna Szrodt. Wystawa „Nie/Wypaleni” w Gdańsku.

Warto wracać do kraju, by włączyć się w nurt sztuki tu płynący.

> Wyjechał. Doświadczył melancholii podróży okrętem, chłodu poranków pod namiotem, oszołomienia przyrodą, ruinami, goryczy rozstań. Powrócił

– cytuje Gustawa Flauberta A. C. Leszczyński w katalogu

wystawy „W drodze”. Trzeba podtrzymywać zanikający w naszym świecie płomień sztuki. Walka toczy się o naszą wrażliwość na piękno, o przenikliwość myśli, świadomość przynależności do dokonań minionych epok, o to, by zadać sobie kilka istotnych pytań. Czy sztuka mówi do nas, o nas, czy nas dotyczy? Tak, dotyczy.

Legendarna felietonistka z Londynu – Krystyna Cywińska.



Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Przez szereg dekad “polski Londyn” delektowało cięte pióro zadziornej felietonistki Krystyny Cywińskiej. W “Dzienniku Polskim” i “Tygodniu Polskim” brylowała jej ironia i dociekliwość. Zawsze uważałem, że brakować nam będzie smaku specyficznej atmosfery “polskiego Londynu” bez wyboru felietonów Krystyny. Ona, niestety, nie zabiegała o to i dziś tylko zachowane, pojedyńcze egzemplarze pisma radują naszą duszę. Patrzę na jej felieton “Ojczyzno, gdzie jesteś?” sprzed wielu lat. Wtedy to “Polityka” publicznie spytała dlaczego emigranci nie wracają, a przecież byliby potrzebni. Zacytowała odpowiedzi kilku bardziej znanych ludzi z emigracji. Mrożek przebywał

wówczas w Meksyku. Jego głos brzmi teraz jeszcze donośnie i warto go przypomnieć, bo nadal daje do myślenia.

Krystyna Cywińska przypomniała, że Mrożkowi "przedwojenne wartości, tak mu bliskie, zniszczyło pięć lat okupacji i czterdzieści parę lat komunizmu. Z okupacji naród wyszedł poraniony fizycznie, pokrzywiony moralnie, a przede wszystkim śmiertelnie zmęczony. A komunizm jego zdaniem "uruchomił w Polsce chama". Tego prawdziwego, naturalnego, który z pochodzeniem społecznym nie ma nic wspólnego.

> Jego definicją jest arogancja, absolutna pewność, że mu się wszystko należy, a nic go nie obowiązuje, więc wszystko należy mu się za nic. W Polsce przedwojennej – pisze Mrożek – nie było motłochu, nawet lumpenproletariat, nawet świat przestępczy miał jakieś swoje reguły gry, kodeksy i poczucie honoru. Była ciemnota, ksenofobia, niezgulstwo, ale chamstwo – nie. Cham nie był w modzie. Dopiero komunizm wyzwolił chama. Zniszczył społeczeństwo, które go kontrolowało i zastąpił je pańswem, które nic nie miało przeciwko chamowi, jeśli cham nie miał nic przeciwko niemu… Komunizm odszedł, cham pozostał.

O Krystynie Cywińskiej:

https://www.cultureave.com/felietonistka-z-pazurem/

Dożywotnio skazany na Polskę



Winicjusz Gurecki

28 czerwca 2019 roku zmarł w Mississaudze (Kanada) Winicjusz Gurecki – poeta, działacz Solidarności. Miał 80 lat.

Wojciech Piotr Kwiatek

W moich wierszach słowiczek nie
śpiewa,

Żadne dziecko się w nich nie
zaśmieje,

Bo mym piórem- twarda rzeczywistość,

Atramentem – zdeptane nadzieje.

Tak napisał w jednych ze swych wierszy Winicjusz Gurecki, działacz „Splidarności”, od 1987 roku przymusowy emigrant (paszport w jedna stronę!) na kanadyjskim bruku, opisując lakonicznie i swój poszarpany polski los i swoją sytuację psychiczną. Jak jego typowa dla tamtego pokolenia biografia, tak i wiersze z tomiku „Smugi cienia” dzielą się na dwa okresy: polski i emigracyjny. Ten pierwszy jest polityczny, dramatyczny i „zdarzeniowy”, ten drugi jest – refleksyjny i egzystencjalny. Ale i w jednym i w drugim powstały dobre, chwilami daleko odbiegające od „patriotycznego sznytu” wiersze, w których chodzi o coś więcej niż tylko kombatanckie „noszenie sztandaru”, krzepienie ducha, umacnianie woli walki z „czerwonym”, ciągłe

odbudowywanie słabnącej chwilami nadziei. Gdy Gurecki napisze:

> Za broń całą dziś musi nam starczyć
>
> Myśl ukryta i trochę bibuły (…)
>
> (Przeznaczenie)

Słychać tu nie tylko dramat prześladowanego, wyzutego z życia i nadziei solidarnościowca, ale i gorycz „człowieka zredukowanego” , a więc refleksje intelektualną. Motyw ten pogłębia jeszcze refleksja historyczno-historiozoficzna z wiersza „Ojczyzno…”:

> Czy kiedyś wreszcie przestaniesz nas dzielić
>
> Na złych i dobrych – na głodnych i sytych (…)

To także często w polskiej tradycji powracające pytanie dotyka jednego z najboleśniejszych polskich problemów: tego, że Ojczyzna nie traktowała sprawiedliwie swoich dzieci, że ich dzieliła, upokarzała, odrzucała jednych, a wynosiła innych,

niekoniecznie oceniając według zasług, że to, co Broniewski nazywał „rachunkami krzywd”, to polski chleb powszedni. Zresztą przytoczony na wstępie wiersz brzmi niemal identycznie jak początek znanego wiersza Broniewskiego „Mannlicher” (Nie głaskało mnie życie po głowie/ Nie pijałem ptasiego mleka), co wskazuje na nawiązanie do tradycji poezji (w dobrym tego słowa znaczeniu) rewolucyjnej, romantycznej. Świadomość tej niesprawiedliwości ciska Gurecki w twarz Polsce jaruzelskiej i kiszczakowskiej, Polsce zbitej, internowanej, podzielonej, krwawiącej, dmuchające w tlące się iskry nadziei niemal wbrew niej, Polsce okłamywanej, sprzedawanej. Polsce, której jakby w tej sytuacji właściwie nie było. Odżywają wtedy tęsknoty za normalnością trudną, ale godną:

> Aby na prawdę poznać życie,
>
> Musiałbyś również się urodzić
>
> W starej czynszowej kamienicy
>
> Dzielnicy Chojny miasta Łodzi.

> Tam zwykła szara ludzka bieda
>
> Skradała się na strome schody,
>
> Po których mama z wielkim trudem
>
> Dźwigała ciężkie wiadra wody (…).
>
> (Poznać życie)

Niestety – to już tylko wspomnienie. Nie ma już tamtego świata, a za chwilę nie będzie tego już i tego tu – koszmarnego, ale swojego. Ojczyzny. Bo oto już gdzieś podstawiają pociąg lub tankują zbiorniki samolotu, który przewiezie przez Styks, do obcego, nieznanego świata:

> Dziś ostatni raz pogadamy
>
> Przy butelce o sprawach naszych.
>
> Gorycz czai się na dnie szklanki
>
> Spakowana walizka straszy…
>
> (Dziś ostatni raz)

A owa ojczyzna – to przecież bardzo różne rzeczy, ale zawsze cenne. Oddalenie tylko dodaje im wartości, czyni ważnymi, niezależnie od ich natury i funkcji:

> Plik amatorskich zdjęć w albumie,
>
> Gwóźdź – kiedyś w ścianę krzywo wbity,
>
> W szufladzie – listy przeczytane,
>
> W barku – łyk whisky niedopity (…)
>
> (Cóż pozostanie)

A gdy już się przez ten Styks przepłynie – sentymenty należy odłożyć, przynajmniej na początku. Naga prawda pobrzmiewa czystym estetycznym tragizmem, niemal jak z Herberta:

> Tam byłeś wrogi, tu jesteś obcy,
>
> Zaciśnij zęby, już raz wybrałeś!
>
> (Wigilia 1987)

Emigranckie życie może bywać koszmarem, trzeba o tym pamiętać. To jedna więcej pozycja w rachunku, który wystawić się powinno tym, którzy ludzi Sierpnia okradali z ojczyzny (a dziś chodzą w glorii tych, co „uratowali Polskę”):

> Nieraz wspomnienie sen ci odbierze,
>
> Wśród nocy wstawać każe
>
> I – albo zdusisz w sobie tęsknotę,
>
> Albo – spakujesz bagaże (…)
>
> (Do Kolegi)

Emigrant, zwłaszcza polityczny, zawsze nasłuchuje. Czeka. Ma nadzieję. Nadzieję na zmianę, na to, że – trawestując Mickiewicza – ktoś zawoła. Ale dla ludzi takich jak Winicjusz Gurecki czas nie miał dobrych wiadomości. Paskudzące się rany wspomnień stanu wojennego nie miały szans zagoić się. Wsłuchiwanie w głosy z ojczyzny kończyło się jeszcze większą goryczą – goryczą kolejnych klęsk, tracenia kolejnych złudzeń: napływały informacje o kontraktowych wyborach, o spychaniu w niebyt ludzi Sierpnia, o „okrągłym stole”, o tym, że „czerwoni” ręka w rękę z Solidarnością…

Nie będzie rozliczeń

Co było – to było

Pozwólcie chwastami

Zarosnąć mogiłom.

Sto procent w Senacie

Trzydzieści pięć w Sejmie

Generał też Polak

Nie trzeba oddzielnie (…)

(Siadajcie)

A przecież się słucha, żyje się tym krajem, który tak bardzo nie daje się kochać, a który tak trudno z serca wyrzucić. Cóż – polski

los. Nie wszyscy łatwo adaptowali się na emigracji, wielu nie zaadoptowało się i nie zaadoptuje nigdy. To ci, o których pięknie napisał poeta:

> Można uciec przed nędzą i głodem,
>
> Przed milicją, więzieniem i wojskiem,
>
> Ale wszędzie jesteście skazani,
>
> Dożywotnio, zaocznie – na Polskę.
>
> (Tęsknota)

To oczywiście refleksja „pro domo sua”. Takim skazanym jest przecież sam Autor. Co może złagodzić dotkliwość kary? To, co często ocala człowieka: drugi człowiek, miłość. I przeświadczenie, że się w życiu czegoś chciało. Toteż te zwrócone do żony – towarzyszki emigracyjnej tułaczki – słowa Gureckiego, tchną mimo wszystko nadzieją i ufnością:

> Nie narzekaj na tę nasza wspólną drogę,

> Że ciernista i zakrętów na niej tyle,
>
> Przecież sama obiektywnie musisz przyznać,
>
> Że się ze mną nie nudziłaś, ni przez chwilę.

Ciekawe życie… Chińskie przekleństwo. Ale dla Polaka – dziwne słowa. Nie bardzo złe, choć może nie bardzo dobre. Niemal każdemu z nas dane jest właśnie coś takiego: ciekawe życie…

Więc może to jednak przekleństwo? Może należałoby się co dzień modlić o życie nudne? Nie wiem. Autor „Smug cienia” znajduje optymizm.

Fredro z Krainy

Humoru

Rozmowa **Anny Gordijewskiej** z **Mariuszem Olbromskim**, literatem, dyrektorem Muzeum Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów w Stawisku.



Pałac Fredrów w Bieńkowej Wiszni, fot. Ewa Giszterowicz.

Czy Aleksander Fredro jest Panu bliski?

Oczywiście, to rodak z mojej „małej ojczyzny”. Aleksander

Fredro herbu Bończa przyszedł na ten świat w Surochowie w 1793 roku, w wiosce położonej przy starej trasie kolejowej między Jarosławiem a moim rodzinnym Lubaczowem. Mniej więcej w odległości kilkunastu kilometrów. Fredrowie, byli bogatą szlachtą, mieli tytuł hrabiowski. W Surochowie był drewniany dwór, który później został przebudowany na pałac. Aleksander rósł w nim do trzeciego roku życia. Kiedy w dzieciństwie jeździliśmy tą trasą kolejową, moja mama mówiła: „Patrz, tu się urodził Fredro". Ale nie było na co patrzeć. Stacyjka w Surochowie była mała, zaniedbana. Do dziś nic się tam nie zmieniło. Pałac Fredrów spalono w czasie II wojny światowej, a w latach 70. został rozebrany. W Lubaczowie, w domu moich dziadziów były książki Fredry. Czasem w codziennych rozmowach go cytowano. Może dlatego, że babcia Aniela, piękna kobieta w młodości, występowała w amatorskim teatrzyku w pobliskim Cieszanowie. Wystawiano sztuki Bałuckiego i Fredry. Kiedy zapomniała roli w „Ślubach panieńskich" dziadziuś, wtedy ognisty kawaler, przytomnie zerwał się z pierwszego rzędu i zasłonił kurtynę. Tym wiekopomnym zgoła czynem zwrócił na siebie jej uwagę. Zjednał sobie przychylność przyszłej żony. Tak więc Fredro uroczo i dowcipnie, w jakimś stopniu, przyczynił się też do tego, że zaistniałem nieco później na tym świecie. Oprócz przeżyć literackich, teatralnych, coś niecoś mu zawdzięczam.

Biografia Fredry związana jest nie tylko z ziemią

lubaczowsko-jarosławską, przemyską, ale i lwowską…

Może przede wszystkim. To zresztą jest jeden krąg kulturowy. Mały Fredro z Surochowa wyjechał z rodzicami do swych dziadków, którzy mieszkali we dworze w Nienadowej nad Sanem, w pobliżu Przemyśla. Ten dwór do dziś istnieje, jest w rękach prywatnych. Fredro po okresie napoleońskim jakiś czas gospodarował w Jatwięgach, a później w pobliskiej Bieńkowej Wiszni koło Rudek, w pięknym pałacu, który zresztą sam, na prośbę ukochanej żony, zaprojektował i zbudował. Później przeniósł się do Lwowa, do dworku na Chorążczyźnie, gdzie tworzył, działał dla dobra miasta i kraju, i gdzie zmarł w 1876 r. Pochowany został w krypcie kościoła parafialnego w Rudkach. Jeśli nie liczyć jego podróży do Włoch, do Paryża, gdzie chodził na przestawienia do teatru i tam zapoznał się bliżej ze sztuką sceniczną, jeśli nie liczyć romantycznej wycieczki razem z Napoleonem śladami hetmana Stanisława Żółkiewskiego do Moskwy, to można uznać, że mieszkał większość życia w pobliskich sobie miejscowościach, na tym szczególnym obszarze.

Dlaczego można mówić o „szczególnym obszarze”?

Dla mnie, ten obszar zwany niegdyś Małopolską Wschodnią, to jeden duchowy krąg. Istnieją tam miasta o podobnej historii, architekturze, w których panoramie dominują wieże kościołów i cerkwi, jeszcze często można tam spotkać zrujnowane synagogi.

Realne świadectwa wieków wspólnego życia, wspólnej historii kilku narodów. To widać od razu. Ale jest jeszcze coś co się nazywa aurą duchową, która dawniej te miejscowości też łączyła. Z tej aury zrodziła się między innymi gwara lwowska „bałak". Bo to jest właśnie obszar „Księstwa Bałaku", którego Lwów był stolicą. Trzeba przypomnieć, że określenia tego użył po raz pierwszy w jednym z poematów Andrzej Chciuk, poeta i pisarz z Drohobycza. Wielbiciel tej cudownej gwary, słońca mowy kresowej. Języka, w którym słowa polskie, ruskie, jidisz, niemieckie, ormiańskie, wielu innych narodów połączone humorem, przeniknięte uśmiechem tworzą cudowną mieszaninę. To jakieś jedyne na świecie „esperanto" kilku narodów, którym bałakano ze sobą na fali porozumienia duchowego, poczucia wspólnoty, mimo różnic. Ukochaną gwarą potrafili porozumiewać się ludzie kilku narodów, z różnych środowisk: profesorowie lwowskich uczelni, szkół, inteligencja. Ale i batiarzy, i tak zwani zwyczajni – choć słowo to bardzo mylące – mieszkańcy wielu miast i miasteczek. Oczywiście „Księstwa Bałaku" nie ma i nie było na żadnej mapie. A jednak istniało. Wspólnie, z drugim.

A z jakim, proszę powiedzieć?

Dla mnie „tym drugim" jest literacka „Kraina Humoru". Która powstała na tym samym, niewielkim obszarze. Mimo wszystkich tragedii historii. Właśnie ze specyficznej aury duchowej, ze

specyficznej tradycji, z inteligencji i polotu serc. Bo właśnie z tego przecież regionu pochodzą pisarze obdarzeni szczególnym darem wywoływania śmiechu. I ich wspaniałe, mądre, krzepiące, bawiące nas do dziś dzieła. Począwszy od „ojca literatury polskiej" Mikołaja Reja z Żurawna nad Dniestrem, który pisał nie tylko poważne rozprawy, jak „Postylla", czyli komentarze do Biblii. Bo jest on też autorem „Figlików", które i dziś potrafią śmieszyć. To zbiór 236 ośmiowersowych epigramatów, wydanych w 1574 roku, uroczych perełek humoru. Jego najpopularniejsze obecnie dziełko „Krótka rozprawa miedzy panem, wójtem, a plebanem", zawiera wszak świetne fragmenty humorystyczne. W pobliżu Żurawna w Stryju urodził się we współczesnych już czasach i wychowywał Kornel Makuszyński, autor „Koziołka Matołka", ale i szeregu innych „słonecznych" utworów dla młodzieży. To chyba nasz najbardziej pogodny pisarz w XX wieku. Ale Krainę Humoru tworzył też ks. bp. Ignacy Krasicki, przez lata związany z Przemyślem i jego wspaniała „Monomachia", której akcja ponoć dzieje się w tym mieście.

No, a we Lwowie w XX wieku Marian Hemar…

Tak, jak najbardziej Marian Hemar, świetny poeta, autor trzech tysięcy tekstów uroczych i dowcipnych piosenek kabaretowych, wielkich przebojów, takich jak: K*iedy znów zakwitną białe bzy*, *Czy pani Marta jest grzechu warta, Ten wąsik*, *Nikt, tylko ty*, *Upić się warto*. Świetnie, że teraz we Lwowie powstał kabaret

polsko-ukraiński inspirujący się twórczością Hemara, bo humor także łączy. A i Wiktor Budzyński, przed wojną dyrektor słynnej „Wesołej Lwowskiej Fali", gdzie Szczepcio z Tońkiem bałakali, reżyser wielu słuchowisk, poeta, autor wodewili, m.in. „Preclarki z Pohulanki". Henryk Zbierzchowski, twórca pieśni kabaretowych, komedii, takich jak „Małżeństwo Loli", „Pojedynek" „Szczęście Gzymsa". Także Horacy Safrin rodem z Monasterzysk na Podolu, który zebrał finezyjne anegdoty żydowskie. I dobrze, że je stale drukuje „Kurier Galicyjski" A także, a może nade wszystko, lwowski „książę poetów" Zbigniew Herbert z jego mądrym humorem, z jego świetną poetycką kreacją Pana Cogito i sławną na całym świecie ironią. I wielu, wielu innych. Trudno wymienić wszystkich. Ze współczesnych trzeba choć wspomnieć o Witoldzie Szolgini, czy Januszu Wasylkowskim. Pewnie zabrakło by szpalt gdybym miał o każdym choć kilka słów powiedzieć. Twórczość Fredry, który był genialnym samoukiem i wyrósł na naszego najwybitniejszego komediopisarza, jest odrębna i jedyna. Ale przecież jest częścią tego kręgu kulturowego, współtworzy magiczną, wspaniałą, literacką „Krainę Humoru".

I ta literacka Kraina Humoru istnieje razem z Księstwem Bałaku?

Kraina Humoru istnieje i może będzie się jeszcze ubogacać. Trochę gorzej jest z „Księstwem Bałaku", bo dzisiaj na skutek

przemian cywilizacyjnych i historycznych bałak prawie zaginął. Już niewielu go pamięta i chce się nim cieszyć. A szkoda. Jeszcze w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych bałakiem posługiwano się dość często. Także w moim Lubaczowie, dokąd po wojnie przyjechało sporo osób zza wschodniej granicy. Czasy były trudne, ale ratowano się, między innymi, humorem. Przeplatanym właśnie bałakiem, który długo po wojnie, także w przygranicznym Lubaczowie, jeszcze trwał.



Wnętrze pokoju Aleksandra hr. Fredry. Podług fotografii Trzemeskiego.



Wnętrze pokoju Aleksandra hr. Fredry. Podług fotografii Trzemeskiego.

Czy może Pan podać przykład z tamtych czasów?

W PRL-u panował systemem, którego głównym zadaniem była naprawa problemów, które sam nieustannie tworzył. Pracowano wytrwale. Panował – że tak powiem – urodzaj niedoborów. Co roku obfitowało. Któregoś lata nie mogli wyprodukować środków owadobójczych. Ruszyła propaganda: „Imperialiści zrzucają stonkę z samolotów, by zniszczyć zbiory!” Na polach stonki było faktycznie mnóstwo. Pojawiły się plakaty. Na jednym z nich, który wisiał w domu mego dziadka w wychodku, stonka

wyglądała jak groźny potwór z kosmosu. Ogromnych rozmiarów, z okiem jak hełm kosmonauty, z mackami zakończonymi długimi palcami złodzieja. Niekiedy chodziłem z dziadziusiem do sklepów, aby mu pomóc. I pamiętam taką rozmowę w „Sklepie żelaznym". – *Czy som moży gwoździ, czy stonka źziarła?* – pytał grzecznie dziadziuś. – *Ali ło* – odpowiadał uprzejmie sprzedawca – *zziarła już kartofli, buraki, mnienso, koszuli i meszty w całym mieści. Ali gwoździ jeszczy ni. Bo ma po nich czekawkę. I dlatego som*. – *To ja poproszy te gwoździ mniejszy* – kontynuował dziadziuś – *Bo moży po dużych si zadławi i zdechni*. – *Niech się dzieje wola nieba, z nią się zawsze zgadzać trzeba* – odpowiadał cytatem z Fredry, wznosząc nabożnie oczy do góry, sprzedawca.

Jak rozwijała się twórczość autora „Zemsty"?

Tworzył skokami, nie w sposób ciągły. Miał okresy wzmożonego wysiłku twórczego, a potem milczenia. W roku 1818 w wieku dwudziestu kilku lat napisał pierwszą ważną komedię „Pan Geldhab". Pierwszy etap jego twórczości przyniósł świetne komedie, m.in. „Męża i żonę", „Cudzoziemczyznę", „Śluby panieńskie", „Pana Jowialskiego", no i „Zemstę" oraz „Dożywocie". Fredro tworzył wówczas także wodewile i farsy, jak choćby: „Damy i huzary" oraz „Gwałtu, co się dzieje!" W 1835 roku po krytyce twórczości m. in. przez Seweryna Goszczyńskiego komediopisarz na 15 lat umilkł, pisał tylko „do szuflady". Po wspomnianej przerwie wznowił działalność twórczą

i wówczas powstało szereg świetnych dzieł, z których na szczególną uwagę zasługują: „Wielki człowiek do małych interesów”, „Wychowanka”, „Rewolwer”. Wznowił swoje komediopisarstwo około sześćdziesiątego roku życia, zamknął pod osiemdziesiątkę. Nie ma w naszej literaturze analogicznego przypadku. Jego twórczość trwała łącznie 50. lat. Mało się o tym pisze i mówi, ale prócz talentu Fredro był ogromnie pracowity. I ciągle się uczył. To był wielki mistrz słowa polskiego. Każdy z etapów jego twórczości mógłby starczyć na osobną biografię twórczą. Obie są wspaniałe i różne. Każda z nich mogłaby być pełnym, osobnym dorobkiem życia wybitnego pisarza. A przecież komedie to nie wszystko. Pisywał wiersze, poematy, aforyzmy, no i cudowne bajki. Któż ich nie zna: „Małpa w kąpieli”, „Zupa na gwoździu” , „Paweł i Gaweł”. Osobnym, świetnie napisanym dziełem jest pamiętnik „Trzy po trzy”. W późnym okresie powstały „Zapiski starucha”, których już sam tytuł mówi o dystansie do siebie autora, zbiór aforyzmów. Stosował różne techniki komediowe, wiele poematów przynosi oryginalne eksperymenty wersyfikacyjne.

Czy Fredro był na co dzień wesoły?

Nie. Był ponurakiem. Hipochondrykiem i na starość coraz większym mizantropem. Może był wesoły we wczesnej młodości, kiedy szalał na balach. Później, w związku z przeżyciami z wojen napoleońskich, po rosyjskiej niewoli w Wilnie, miał powody do

bycia w złym humorze. Ze względów zdrowotnych, ale też innych. Galicja była w końcu zaborem, była niewolą. Jest taka świetna książka na ten temat Jarosława M. Rymkiewicza, „Fredro jest w złym humorze". Od roku 1828 dręczyła pisarza podagra, bolesna choroba stawowa nie bez związku z jego przeżyciami wojennymi. Z roku na rok ataki podagry były coraz boleśniejsze, szczególnie w nocy Fredro nie mógł w ogóle spać. Pisał całe noce stojąc przy pulpicie. Miał przywiązane pióro do ręki, która go bolała, a koślawe litery w ostatnich latach jego życia przepisywał w dworku na Chorążczyźnie specjalnie zatrudniony kopista. Jeszcze później Fredro nie mógł całymi dniami wstać z łóżka. Dzieła, które nas bawią, powstawały często w szczególnych okolicznościach. Jednak trzeba też wspomnieć, że wielkim dla niego ratunkiem było szczęśliwe małżeństwo z Zofią z hr. Jabłonowskich, z którą się bardzo kochali. Myślę także, że jego twórczość była dla niego samego także autoterapią, radością tworzenia, jego wspaniałym darem dla społeczeństwa, które między innymi chciał chronić humorem przed apatią, po klęsce powstania listopadowego.

Czy Fredro był patriotą?

Tak, gorącym. Już w wieku szesnastu lat, kiedy do Galicji wkroczyły w 1809 oddziały księcia Józefa Poniatowskiego, zaciągnął się do Armii Księstwa Warszawskiego. W 1812 roku wziął udział w wyprawie na Moskwę. W czasie walk dostał się do

niewoli rosyjskiej w Wilnie, z której sprytnie zbiegł i udał się do Saksonii. Następnie walczył pod Dreznem, Lipskiem, Hanau, później w kampanii francuskiej – we wszystkich wielkich bitwach prowadzonych przez Napoleona. Awansował do stopnia kapitana. Kiedy skapitulował Paryż, w roku 1814, podał się do dymisji. Bił się dzielnie, był świetnym żołnierzem o czym mogą świadczyć odznaczenia, które otrzymał za zasługi wojenne. To Złoty Krzyż Virtuti Militari w 1812 roku, a dwa lata później Krzyż Kawalerski Legii Honorowej.

Po latach, w utworze „Pro memoria" pisał o tym lekko i dowcipnie. Przy okazji podał dość mało romantyczną wersję powołania poetyckiego, która osłabia zapał jego apologetów, wprawia w zakłopotanie uczonych teoretyków literatury:

> Wyjechaliśmy razem nie z równych pobudek,
> Napoleon na Elbę, ja prosto do Rudek.
> Tęskniłem za obozem… nudziłem się przeto,
> I ażeby coś robić, zostałem poetą.

Później, gdy walka zbrojna stała się – jego zdaniem – niemożliwa, świetnie gospodarował w Beńkowej Wiszni i walczył piórem.. Podejmował szereg wyjątkowo cennych dla społeczeństwa inicjatyw. Uczestniczył na przykład w kształtowaniu Zakładu im. Ossolińskich. Fredro był jednym z animatorów powstania kolei w

Galicji. Korespondował w tej sprawie z Leonem Sapiehą, zabiegał o fundusze na ten cel u bankierów w Wiedniu. Napisał do cesarza adres, w którym domagał się wprowadzenia języka polskiego w szkołach i urzędach, udziału Polaków w urzędach państwowych. Podpisał też petycję – wtedy, co warto podkreślić – o konieczności utworzenia wolnej Polski. Ogromnie zasłużył się nie tylko jako pisarz, ale też jako obywatel Lwowa. Miasto obdarzyło go honorowym obywatelstwem oraz pięknym pomnikiem według projektu Leonarda Marconiego z 1879 r., który stał w centrum Lwowa. Po wojnie monument na pewien czas przewieziono do Wilanowa, a od 1956 roku zdobi rynek we Wrocławiu, gdzie trafiła po wojnie duża część ludności ze Lwowa.



Czy w związku z tym, że Fredro jest Panu bliski, także w Stawisku zaistniała impreza fredrowska?

Oczywiście, nazwana przekornie w nawiązaniu do znanego hasła ze słusznie minionego okresu „Fredro wiecznie żywy”. Ma charakter doroczny i na Mazowszu się przyjęła. W tym roku niedawno ze sztuką „Mąż i żona” pojawili się w Stawisku młodzi i bardzo utalentowani absolwenci Akademii Sztuk Teatralnych we Wrocławiu Natalia Bloch i Piotr Czekalski, aktor Teatru Pinokio

w Łodzi. Młodzi wystąpili ze spektaklem we własnej adaptacji, scenografii i reżyserii.

Przyczynił się Pan kiedyś do utworzenia Muzeum Juliusza Słowackiego w Krzemieńcu, Józefa Conrada-Korzeniowskiego w Berdyczowie, a później w jakimś stopniu też do utworzenia Muzeum Aleksandra Fredy w Rudkach. Jak do tego doszło?

Mam taką niegroźną – jak mnie uspokajają lekarze – manię. Polega ona na chęci tworzenia muzeów. Kiedyś na próżno próbowano mnie z niej wyleczyć w Przemyślu, gdzie powstał nowy, okazały gmach muzeum. I dwa inne muzea. O Muzeum Fredry marzyłem od dawna. W 1990 roku byłem po raz pierwszy w pałacu Fredrów w Beńkowej Wiszni. Chodząc po salach razem z prof. Bogdanem Zakrzewskim z Wrocławia, wybitnym fredrologiem, już wtedy snuliśmy plany. Ale pałac jest ogromny, mocno zaniedbany. Później powracałem do tematu z panem Jackiem Dmitrowskim, dyrektorem Muzeum Regionalnego w Dębicy. Ale remont pałacu pochłonąłby ogromne kwoty i trwał bardzo długo. Na razie przeprowadzono prace związane z inwentaryzacją. To w przyszłości będzie pomocne do prowadzenia dalszych przedsięwzięć, niezależnie od wartości naukowej samej inwentaryzacji. Mieści się tam teraz filia uczelni rolniczej w Dublanach. Jest tam jedna sala poświęcona Fredrze, a prowizoryczną ekspozycję zorganizował dyrektor tej placówki.

Ten pałac to budynek wyjątkowy…

Zupełnie. Bo nie tylko zaprojektowany i zbudowany przez pisarza, nie tylko jest piękny architektonicznie, ale to miejsce wyjątkowe dla naszej całej kultury literackiej. W nim mieszkał w latach 1828-1846 żoną Zofią z domu Jabłonowską, i tam powstały najlepsze komedie Fredry z pierwszego okresu jego twórczości. Później gospodarował w nim i tworzył jego syn Jan Aleksander Fredro, również utalentowany komediopisarz, a następnie syn Jana – Andrzej Maksymilian Fredro, literat i poeta. Zatem przez trzy pokolenia ród Fredrów tym budynku tworzył ze słów pałac kultury polskiej. Ale ponieważ szybkie utworzenie w tym budynku muzeum było niemożliwe, powstał więc projekt, żeby we wnętrzach zabytkowej, barokowej dzwonnicy kościoła w Rudkach, gdzie pisarz – jak wspomniałem – został pochowany i jest kaplica rodowa Fredrów, zorganizować małą ekspozycję. Swoją manią zaraziłem Adama Chłopka z Drohobycza, który włączył się i ogromnie zaangażował w zorganizowanie tej skromnej ekspozycji. Uroczystość jej otwarcia i poświęcenia w 140. rocznicę śmierci wielkiego komediopisarza odbyła się z udziałem J.E. ks. abp Mieczysława Mokrzyckiego, aktorów Polskiego Teatru ze Lwowa i Teatru Fredreum z Przemyśla, licznie zgromadzonych mieszkańców Rudek. Teatr Fredreum był tam zresztą po raz kolejny, bo co roku fredrowcy odwiedzają Rudki, aby złożyć kwiaty na sarkofagu swego patrona i zapalić znicze. Wiele razy, kiedy jechaliśmy w ramach „Dialogu Dwóch

Kultur” do Krzemieńca, to po drodze przyjeżdżaliśmy do Rudek. Często towarzyszył nam zespół Teatru Fredreum. Nigdy nie zapomnę jak któregoś roku wspaniale zaprezentował się na stopniach pałacu w Beńkowej Wiszni z fragmentami „Zemsty”. Była piękna pogoda, pałac w blasku wrześniowego słońca wyglądał urzekająco, a aktorzy stworzyli w tej wyjątkowej scenerii cudowne kreacje. Ale chyba największym dla mnie przeżyciem był spektakl Polskiego Teatru Ludowego ze Lwowa na uroczystości ponownego pochówku Aleksandra Fredry w 1991 r., kiedy zespół kapitalnie przedstawił „Dawny spór” Mariana Hemara. To błyskotliwie napisana jednoaktówka, w której Hemar przypomina atak Seweryna Goszczyńskiego na Fredrę. Goszczyński był oburzony, że Fredro po upadku powstania listopadowego pisze i wystawia komedie, że jest obojętny na sprawy narodowe. Spór taki rzeczywiście miał miejsce, bo autor „Zamku Kaniowskiego” zaatakował Fredrę w 1935 roku na Łamach „Powszechnego Pamiętnika Nauk i Umiejętności”. Trzeba wspomnieć, że w zasadzie tym atakiem Goszczyńskiego nikt się specjalnie nie przejął, bo społeczeństwo uwielbiało jego komedie, oprócz samego Fredry, który umilkł na wiele lat. Goszczyński, sam jak wiemy wspaniały poeta i patriota, nie zrozumiał intencji Fredry. Ale zrozumiał je, na przykład książę Adam Czartoryski, niekoronowany król Polski na emigracji w Paryżu, który do autora „Zemsty” skierował list gorąco zachęcając go do dalszej twórczości. Zatem właśnie w Rudkach pierwszy raz spotkałem Teatr Polski ze Lwowa i od razu pojąłem,

że mam do czynienia ze zjawiskiem artystycznym świetnym i zupełnie wyjątkowym.



Czy prawdą jest znane porzekadło, że „śmiech to zdrowie”?

To powiedzonko niesie prawdę. Jest rzetelną informacją. Dzisiaj wiadomo na podstawie doświadczeń lekarzy, a także po licznych badaniach klinicznych, że śmiech wpływa pozytywnie na krążenie i ciśnienie krwi. Powoduje wzmożoną pracę serca. Śmiejąc się nabieramy więcej powietrza do płuc, a więc dotleniamy organizm. Co ma dalsze i wielorakie pozytywne skutki. Ćwiczymy mięśnie szkieletu, relaksujemy ciało. Śmiech, między innymi łagodzi problemy z astmą i migreną. Przyczynia się do osłabienia bólu. Generalnie więc polepsza stan zdrowia. A

jak twierdził sam Fredro:

> Szanuj zdrowie należycie
>
> bo jak umrzesz stracisz życie”.

Czy ma oddziaływanie tylko somatyczne, czy wpływa też na psychikę?

Jak wiadomo organizm człowieka stanowi jedno. Dobre zdrowie fizyczne warunkuje dobre zdrowie psychiczne. I na odwrót. Śmiechem na poważnie zajmowali się filozofowie, począwszy od Arystotelesa. Humor ma ogromne znaczenie terapeutyczne. Często jest wyrazem życzliwości, przychylnego stosunku do innych ludzi, świadczy o pełnym rozwoju osobowości człowieka. Czyli Fredro krzepi, a wraz z nim wszyscy twórcy „Krainy Humoru”.

Co w takim razie zaleca Pan jako lekarstwo?

Rano dwie pigułki z dzieł Fredry, w południe dwie łyżki z Hemara, wieczorem pigułka z Makuszyńskiego. Zwłaszcza gdy w domu są dzieci i można poczytać „Koziołka Matołka”. Nacierać głowę maścią „Tońko i Szczepcio”, będzie lepiej! Smarować uszy bałakiem. I nie trzeba będzie chodzić do szpitala, czekać w

długich kolejkach. Oszczędza się fundusze na leki w aptece. Jeśli nie pomoże, to nie zaszkodzi. Mogę na to udzielić bezpłatnie każdemu gwarancji na sto lat. Na piśmie.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

Ta to ja dziękuji. Ta z taku magnifiku to sam mniód bałakać. Padam do nużek i całuji rączki.

Rozmawiała Anna Gordijewska
Tekst ukazał się w „Kurierze Galicyjskim" we Lwowie, nr 8 (328) 26 kwietnia – 16 maja 2019 r.

Międzynarodowy

Konkurs Filmów Krótkometrażowych podczas Festiwalu Polskich Filmów w Austin w Teksasie 2019



Austin w Teksasie, fot. wikipedia

Podczas tegorocznego, 14. Festiwalu Polskich Filmów w Austin w Teksasie, jak co roku będzie organizowany **Międzynarodowy Konkurs Filmów Krótkometrażowych**. Zapraszamy zatem studentów szkół filmowych oraz niezależnych filmowców do zaprezentowania swojej pracy przed publicznością w Austin.

Warunki:

Przyjmujemy filmy o długości do 10 minut, mające związek z Polską, są inspirowane polską kulturą, twórca/twórcy są Polakami lub mają polskie pochodzenie. Konkurs odbywa się w dwóch kategoriach: film animowany i nieanimowany.

Przykłady:

– film jest produkcji polskiej (lub polsko-amerykańskiej),

– reżyser, główny aktor/aktorka, autor zdjęć filmowych, scenarzysta, montażysta mają polskie korzenie,

– film jest w języku polskim,

– film jest nakręcony w Polsce,

– film jest o Polsce lub inspirowany polską kulturą.

Nie pobieramy opłaty za przesłanie filmu.

Akceptowane filmy będą pokazywane w specjalnym segmencie Shorts. Zwycięzców wybierze zespół sędziów z branży filmowej, ze środowisk akademickich i mediów.

Bardzo nam zależy, abyśmy mogli zaprezentować interesujące prace w Austin – mieście kultury, kreatywnym i twórczym, w którym mieszka wielu miłośników filmu.

Szczegóły można znaleźć na stronie:

https://www.austinpolishfilm.com/competition



Będziemy się cieszyć z każdej nadesłanej propozycji.

2019 Austin Polish Film Festival

E-mail: shortfilmcompetition@jsokolowska.com